

Antoni Gwiazdowski "Wrzawa".

Urodziłem się w 1919 r. Ojciec pracował w tartaku <sup>w Płóćcznie</sup> jako pracownik fizyczny. Matka nie pracowała. Miałem jedenaścioro rodzeństwa. Było ciężko. Później ojciec miał jatkę a Augustowie, ale zbankrutował. Któregoś dnia wziął ze sobą większe pieniądze na zakup żywca i został ograbiony. I znów musiał podjąć pracę jako pracownik fizyczny. Skończyłem tylko dwie klasy szkoły powszechnej, gdy przenieśliśmy się do Płóćczna, do stryjostwa. Ojciec zaczął pracować w warsztacie stolarskim stryja, ale ten niedługo potem wyjechał do Gdyni, która właśnie się budowała. Ojciec wobec tego poszedł pracować do tartaku w Płóćcznie. Miałem właśnie 14 lat i także poszedłem tam pracować. Wykonywałem lżejsze prace.

Był tu oddział "Strzelca", do którego niebawem wstąpiłem. Podobała mi się ta organizacja. Mieliśmy mundury, które oczywiście musieliśmy kupić za własne pieniądze. Była strzelnica, na której mogliśmy strzelać ze starych, francuskich Lebeli. Były one cały czas do naszej dyspozycji. Oddział nasz liczył ok. 30 chłopaków. Urządzaliśmy różne zawody sportowe, występy artystyczne. Pierwszym dowódcą był Józek Milewski, potem samozwańczy porucznik, który okazał się później kapralem, po nim - Kukstas - legionista, kawaler Orderu Virtuti Militari. Ostatnim komendantem był Krawczyk.

Przy "Strzelcu" był oddział szkolnej młodzieży "Orlęta". Znajdowali się oni pod stałą naszą opieką. Dbaliśmy o to, by przynależność do organizacji nie odbywała się kosztem szkoły. Czuwaliśmy więc nad postępami w nauce naszych podopiecznych. Byliśmy w stałym kontakcie z kierowni<sup>ki</sup>czką szkoły, który był jednocześnie referentem wychowania obywatelskiego w "Strzelcu". Młodzież garnęła się do tych organizacji. Była pełna zapału, stąd i kłopotów wychowawczych specjalnie nie było. Dzięki temu też kwitło życie kulturalne. Młodzi rolnicy, po ciężkiej pracy w polu, potrafili jeszcze przejść parę kilometrów, by wziąć

urządzaliśmy udział w zbiorce oddziału. A przecież jeszcze ~~wyprawkiliśmy~~ zawody sportowe: piłka nożna, siatkówka. Była 24-osobowa orkiestra. Grała ona przy różnych uroczystościach, dawała koncerty dla publiczności i na pogrzebach.

Latem w niedzielę jechano się do kościoła w Monkiniach na platformach kolejki wąskotorowej. <sup>Jechali</sup> ~~Byli~~ wtedy wszyscy: i "Strzelec", i Związek Rezerwistów, i strażacy, a na czele orkiestra, która grała marsze. Przy torach, na niewielkich polankach odbywały się zabawy na świeżym powietrzu. Oczywiście orkiestra grała zawsze za darmo.

Początkowo zarabiałem 2 zł 80 gr. za dniówkę /1/2 l wódki kosztowało wówczas 2 zł 10 gr., chleb do 18 gr za kg, cukier 1kg - 1 zł, 1 kg mięsa gorszego gatunku - do 1 zł/, później aż do wojny 3 zł, 10 gr./.

Tuż przed wojną stawałem na komisję lekarską wojskową, ale do wojska nie przyjęli. Potem, gdy wybuchła wojna, to wszystkie oddziały KOP-u zaczęły się wycofywać z Suwałszczyzny. Oddziały zmobilizowanych leśników, "Strzelca" i Przysposobienia Wojskowego włączono do nich. Pomaszzerowaliśmy pod Grodno. Niemców wogóle nie widziałem.

Maszzerowaliśmy przeważnie dniem, tarasując za sobą drogę. Ścinaliśmy drzewa i zwalaliśmy je na drogę. Doszliśmy do Sopoćkiń. Tu już słyszeliśmy strzelaninę w Grodnie. Zatrzymaliśmy jakiegoś gościa, który mówił, że Ruscy idą. Por. Kondratowicz, który w "Strzelcu" prowadził przysposobienie Wojskowe, kazał nam go zamknąć w szopie i pilnować całą noc. Potem sowieckie samoloty zrzuciły ulotki, z których dowiedzieliśmy się, że Rosjanie weszli.

Między Sopoćkiniami a Grodnem o mało nie doszło do nocnej walki z sowieckimi czołgami. Leżeliśmy w rowie przed skrzyżo-

waniem dróg. Czołgi szły prosto na nas. Każdy z nas miał po dwie butelki z benzyną i po kilka granatów plus kilka erkaemów - to było nasze całe uzbrojenie. Gdy już wydawało się, że czołgi po prostu nas rozjadą, nagle skrzyły w lewo i poszły drogą w bok. Były nas dwie kompanie i gdy czołgi włączyły reflektory, to wszystkich widziałem wyraźnie. Rowy, w których leżeliśmy były za płytkie. Było nas ok. 200-tu. I kompania nazywała się "Bolesława, a II-ga - "Anót<sup>to</sup>niego".

Zaczęliśmy się stamtąd wycofywać. Nikt nie wiedział z jakimi zamierami Ruscy weszli. Z tyłu słychać było strzelaninę. Po ponoć białoruscy dywersanci dawali znać o sobie. Wszyscy byli zdezorientowani. Strzały z tyłu nasiliły się szczególnie nad Kanałem Augustowskim. W końcu doszliśmy do wsi Stanowisko. Tu dowódca powiedział, że kto chce może iść do domu, a kto chce - na Litwę.

Po rozformowaniu oddziału ja z trójką żołnierzy zaszliśmy do jakiegoś gospodarza by przespać się. Rano, szarówką, do wsi weszli sowieci, więc my chykiem z drugiej strony wsi uciekliśmy. Koledzy pozbyli się broni. Napotkaliśmy ciuchcie z Płociczna. Zakładowaliśmy się. Ja swoje granaty zawiesiłem na drucie, u jej spodu. I tak jakoś dotarłem do domu.

Ruscy pobyli u nas dwa tygodnie. Zabili żołnierze WP - - Sienko /z Olszenki ?/ na szosie Suwałki-Augustów, za to, że znaleźli u niego w kieszeni łuskę. Tak, to raczej zachowywali się ostrożnie. Mój wuj miał sklep spożywczy, to sam wiedziałem jak wszystko wykupywali. Pewnego razu - pamiętam - przyszedł taki jeden sowiecki żołnierz i chciał kupić cukierków. Wziął kostkę masła, ugryzł i ~~skrzywił się~~ <sup>krzywiąc się</sup> powiedział: "Nie choroszyje u was konfietki".

Przyszli Niemcy i uruchomili tartak. Trzeba było pracować po 10-12 godzin. Mnie wzięli na vorarbeiters. Wyznaczyłem drzewo do przycinania, organizowałem pracę. Pracowali u nas Ukraińcy - petlurowcy i starowiercy. Pewnego razu dostałem polecenie by wybierać odpowiednie grubości i długości końce dłużyc. Jak się później zorientowałem, służyły one do wykładania dróg. No i zaczął się kłopot z tymi starowiercami. Byli strasznie leniwi. Czekali tylko końca dnia. Jedną cienką dłużycę potrafiło nieść, niby skłaniając się ze zmęczenia, czterech na raz, gdy była to praca dla jednego człowieka i nie wymagająca od niego dużego wysiłku. Przyjeżdżają Niemcy po te dłużyce, a ja tu nic nie mam. "Co za mało masz ludzi? - pytają - powiedz tylko to my ci podeślemy". Byli źli, że nie było wyników. Ale nie chciałem skarżyć na tych ludzi do Niemców, bo - wiadomo - do okupanta o pomoc zwracać się nie należało. Początkowo nie mogłem więc dać sobie z nimi rady. W końcu wpadłem na pomysł. Powiedziałem im: "Macie zrobić tyle i tyle a potem macie fajrant". No i rzeczywiście. O 11 godzinie robota była już wykonana a oni, przez ogrodzenie, uciekali do domu. Brałem więc od nich karty pracownicze i podbijałem wszystkim wychodząc z pracy.

Gdy Niemcy uderzyli w 1941 na Rosję, kazali mi organizować dowóz surowca tartaczno<sup>j</sup>go do kole<sup>j</sup>ki wąskotorowej. Oni w tym czasie dawali ludziom konie za odrobek. Konie te kupowali na spędzie w Suwałkach, zaś taki gospodarz, który dostał tego konia, miał za to dowieźć do kolejki odpowiednią ilość budulca. Wielu było chętnych do tej pracy. Wiadomo - koń, rzecz ważna. Dawali też do niego uprzęż, żelazo do podkucia, paszę. Ale później, gdy wartość marki spadła po klęskach na froncie wschodnim, to chętnych już nie było do tej pracy.

Więc Niemcy nałożyli na poszczególne gminy "szarwarki" i rolnicy musieli jechać często po 50-60 km by dotrzeć do celu. Wtedy chodziło o dostarczanie drzewa do Kanału Augustowskiego, gdzie było ono spalane do Płociczna. Często taki "szarwark" trwał i dwa tygodnie.

Najpierw Niemcy aresztowali za konspirację Bolesława Kujawę /był z Poznańskiego/ i Sroczyńskiego. Potem, gdy byłem służbowo we wsi Dworzysko, to w okolicy rozbili właśnie oddział "Jacka". Słyszałem strzelaninę. Widziałem, jak Niemcy wieźli na wozie trzy czy cztery trupy. Na wierzchu leżała dziewczyna w harcerskim mundurku z białą-czerwoną opaską na rękawie.

i na rajówce  
Tam, w Dworzysku, widziałem po raz pierwszy "Żwirka" - dowódcę oddziału partyzanckiego. Potem jeszcze spotykłem go kilka razy u gajowego Antoniego Fiedorowicza, ale rozmowy nasze zawsze dotyczyły spraw ogólnych. ~~W~~ W końcu, powiedzieli mi kim są. Tam, na jego ręce złożyłem przysięgę. Było to wiosną 1943 roku. Chciałem iść do oddziału, ale "Żwirko" powiedział mi, że ja na moim stanowisku mogę oddać im nieocenione usługi. Spalony przecież nie byłem.

Do moich obowiązków w tartaku należało m.in. zaopatrywanie robotników tartacznych w naftę, jaką taką żywność, paszę dla koni. Mogłem więc zawsze coś jeszcze dodatkowo ~~przekazać~~ załatwić i dla partyzantów. Często przewoziłem medykamenty albo różne inne rzeczy popakowane w paczki, których zawartości nie znałem. Dostawałem je od mojego wuja - Ostrokołowicza, który prowadził sklep.

Pamiętam, zimą niosłem worek lekarstw do gajówki. Ale nikogo tam nie zastałem. Idę więc lasem do Dworzyska. Śnieg był bardzo głęboki. W pewnym momencie wydaje mi się, że .

widzę Niemców. Rzuciłem więc worek w krzaki i ~~idę~~ idę do przodu. Alarm, jak się okazało, był przedwczesny. To jakiś cywil jechał wozem. Poczekałem więc chwilę, aż znikł mi z oczu po worek. i wróciłem się ~~do przodu~~ Znowu idę do przodu, i znow, ktoś idzie. I znow rzucam worek w krzaki. ~~Itak~~ tak było kilka razy. Jakoś wyjątkowo tego dnia był taki ruch na tej zwykle nieuczęszczanej drodze. Byłem już porządnie umęczony tym ciągłym<sup>21</sup> wracaniem się po worek. Nagle, gdy doszedłem do gęstego lasu, zza drzewa wyszedł potężny szwabisko. Z wrażenia upuściłem worek. Jak zaraz się okazało, był to "Orli szpon". Razem z nim był "Marek" - Kózłowski. Meldunki nosiłem także do Antoniego Majewskiego "Wydry" w Gawrych - Rudzie. Nosiłem je ~~do~~ również do mojej siostry ciotecznej w Suwałkach - Heleny Ferrens, jednakże, gdy Suwałki zostały zajęte przez Rosjan, kontakt mój z organizacją urwał się.

Oddział ~~xx~~ "Zwirki" operował między Kanałem Augustowskim a Kaletami, po jego śmierci zastąpił go "Kmicic" - Kuszel.

Gdy front nadchodził, Niemcy ewakuowali wszystkie rodziny do Dubowa, a nas skoszarowali w tartaku. Potem wysadzili w powietrze urządzenia i spalili tartak. Nas zawieźli pod Raczki /dawne Święciany/. /styczeń 1945 r./ Gdy zimą Rosjanie przekłameli front, to wycofywaliśmy się na Giżycko. Tam to po raz pierwszy spotkaliśmy Rosjan. Wszyscy byliśmy nastawieni do nich bardzo przychylnie. Nic nie wiedzieliśmy o ich zachowaniu na naszych terenach za Bugiem. Czekaliśmy więc na nich z utęsknieniem. Gdy Niemcy uciekli, to ludzie skorzystali z okazji i pobrali z ich magazynów ubrania i inne różne rzeczy. Ja wziąłem rękawice. Ktoś niosł nawet patefon owinięty w szmaty. Każdy więc szedł z jakimś tobołkiem w ręce. Ktoś złapał nawet konia. Idziemy więc do szosy, a tu cały czas walą ruskie.

"Zdrastwujcie! Zdrastwujcie Towariszczu! - krzyczymy i cieszymy się. A tu cały czas czołgi, piechota, rowery. Raptem podbiegł do mnie jakiś bojec. "Pokażi ruki" - mówi do mnie. Pokazuję zdziwiony, a ten cap za rękawice i pobiegł do przodu. Oglądam się, zaskoczony, myśląc, że to jakiś żart i że zaraz dostanę te rękawice z powrotem. Ale patrzę w bok, a tu już inny sowiet ściąga koledze buty z nóg, ciągnąc go po ziemi. Już i konia nie ma. O ludzie, co tu się dzieje?. Ale to nie był jeszcze koniec. Miałem na sobie mundur niemiecki, a na nim gumowany płaszcz - z tego magazynu właśnie. Zderli mi i ten płaszcz. Kolega, chcąc uratować buty, owi-  
nął je w szmaty. Ja przez ten mundur, to o mało nie zostałem rozstrzelany. Kilka razy brali mnie ruskie i stawiali mnie pod "stienku razstrielać", ale ratowali mnie przyjaciele - była nas kok. 30-tu. Zdjąłem więc ten mundur. Znalazłem jakąś kapotę, czerwony szalik i już wtedy nie zaczepiali.

Wróciłem do tartaku. Zaczęliśmy go odgruzowywać. Za ten czas<sup>my</sup>, ale bardzo rzadko, można było kupić mydło, mąkę i chleb. No i zaczęło się masowe pędzenie bimbru. A od Ruskich za samogon można było wszystko dostać. Mój kolega miał krówkę no i potrzebna mu była wirówka do odciągnięcia śmietany. Ruskie stali obok i mieli coś takiego. Sąsiad przyniósł mi samogonu, ja zaniósłem go wartownikom i wirówka trafiła do nowego właściciela. Ale ci dwaj sowieci popili się tym samogonem i pobili chyba. W tym czasie, w magazynie zbożowym, którego pilnowali, pod naporem zboża pękły deski i zboże częściowo wysypało się na ziemię. Ich szef, kpt. Biełyj zobaczył to, wściekł się i wziął ich w obroty. Dowiedział się skąd dostali bimber i za co. Przyjechał więc do mnie i mówi: "Anton, dawaj supierator". A ja mówię, że to jakiś chłop z Mscharc

go zabrał. Jednego konia miał siwego, drugiego gniadego. Dał dwa litry samogonu, ja go zaniósł do bojców i dostał superetator. "A ty jop twoju mat', co ty zdiekał Anton?. Poszedł, ale niedługo potem przyszedł z powrotem. Wziął kierownicę i jeszcze jednego bojca, położył mi na kolana karabin i powiedział: "Jedziemy Anton do Macharc". Samochód lśnił w słońcu, tylko co wymyły, a tu błoto jak chol<sup>e</sup>ra. Zajechaliśmy do Macharc, spędził wszystkich chłopów z koniami, i mam poznać, które to były. Oczywiście nie znalazłem ich. Biełyj był wściekły. "No to jedziemy do Małowistego" - zadekpydował. A ja w tym czasie pomyślałem sobie: Będziemy tak pętać się, to jeszcze ci z lasu nas kropną, bo w lasach było już wtedy pełno. Ale w końcu to już i śmiech mnie wziął. Jedziemy z powrotem, ja siedzę na tylnym siedz<sup>n</sup>emiu i rękami trzymam się z całej siły za brzuch, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Biełyj zauważył to w końcu w lusterku. "Ach ty jop twoju mat' Anton, obmoił sowietskowo oficiera i smiejotsia, szto duraczka neszol'".

Później prosili mnie bym robił dla nich skrzynie za zupe, którą nosilem dla rodzinki. Oni pakowali w te skrzynie fotele, opony i inne rzeczy a pisali na skrzyniach: masło, pakryszki. Wszystko kradzione w Prusach. Na ternie ich bazy stał wrak samochodu osobowego, już bez silnika. Bez niczego. Tylko szyby były. Gdy wyjeżdżali, to jeden w ostatniej chwili zeskoczył z samochodu podniósł cegłę i wszystkie te szyby pobił.

W lipcu 1945 r. zaczęła się ta wielka oblawa. Poszedłem wówczas do Suwałk. Mieszkały tam dwie siostry: Wanda i Celina Dzienisiewiczówny. Wcześniej obie były w oddziale AK "Romana". Wanda - ta młodsza - pracowała początkowo w biurze w tartaku w Płócicznie, zaś Celina pracowała w Macharcach. Star-

sza pierwsza poszła do lasu, a potem Wanda. Po wyzwoleniu Celina zaczęła pracować w szpitalu w Suwałkach jako siostra. Również Wanda gdzieś się zaczepiła i jednocześnie uczyła się. I wtedy, gdy była ta wielka obława szedłem do nich. Gdy byłem już w bramie ich kamienicy /nocowałem wtedy u swej siostry ciotecznej/, jakaś kobieta, która właśnie wychodziła z niej ostrzegła mnie: "Panie, pan do tych dziewcząt? - Tak" - odpowiedziałem. "Panie, je wzięli już w nocy. Teraz siedzi u nich dwóch enkawudzistów i kto wejdzie to biorą". Usłyszawszy to zawróciłem czym prędzej i w nogi. Żał mi ich było. To na ich ręce po raz drugi składałem, już po przyjsciu ruskich, przysięgę. Nosilem do nich meldunki, dostawałem nielegalną prasę. Wróciłem czym prędzej do domu. Ale tu także była obława. NKWD aresztowało w Płócznicznie ok. 30-tu osób, w tym mnie i moją siostrę. Zapędzili nas do Dubownik i tam trzymali nas na gołej ziemi w jakimś gospodarstwie. Nie było żadnego śledztwa. Nic się nie działo. Ruskich było do diabła. Nie było mowy, żeby ktoś uciekł. Nikogo nie wzywali. Czas uciekał nam na różnych domysłach. W końcu jeden taki, gajowy Popko, nie wytrzymał, wstał, powiedział: "Siedzicie tu jak głupie, a ja zaraz pójdę do domu" i podszedł do jakiegoś majora. Mówi, że ma żonę, dzieci, żeby do domu go puścić. "Co - wkurzył się sowiet - w podwołu jowo!" i zamknęli go w piwnicy. W końcu, po paru godzinach popędzili nas z powrotem do Płócznicznia do sołtyśa. Pytali go: "Znajesz towo? - Znaję - odpowiadał sołtyś i puszczali delikwenta. W efekcie nie zatrzymali nikogo. A jeszcze jak nas pędzili do Dubownik, to konwojenci cały czas krzyčili na nas: "A wy bandity, jebi waszu mat'". Jeden z naszych powiedział więc do ruskiego: "U was to wsie bandity". Ten się wkurzył stresznie "A job twoju mat' - krzyczał

- ja za ciebie know proliwaju i ja bandita" i ciupaga go. A ruski po prostu źle zrozumiał. Chodziło o to, że kogo oni nie aresztują, to ten zazraz bandyta.

Jeszcze zimą 1945 r., zaraz po wejściu Rosjan, wstąpiłem do PPR-u. Namówił mnie Rejterada Stanisław, sekretarz PPR w tartaku. Wielu robotników z tartaku należało do PPR-u, bo tu ~~zakład~~ można było dostać paczki z UNRRY, często więcej od nie należących do partii.

Rejterada mieszkał w tym samym domu co ja. A chłopaki z ~~z~~ lasu /wtedy jeszcze od "Brzozy/ lubili po kilku zechodzić do mnie w nocy. Niestety nie robili tego po cichu. Zawsze podniesione głosy, śmiech, z przytupem, szczęk broni - wkurzało to mnie jako zupełnie niepotrzebne i niebezpieczne dla mnie. A u Rejterady w domu, to już nikt nie spał w taką noc. Po latach, tylko po większej wódce, mówił mi, że ja jemu życie uratowałem.

Z kolei innym razem, <sup>co 1946 r.</sup> gdy oddział "Bębna" brał mąkę ze młyna, to "Zagłoba" mówił przy obcych ludziach: "A temu Gwiazdowskiemu, on ma tyle dzieci, to trzeba podrzucić trochę". Nic dziwnego, że dotarło to w końcu do UB. Miałem tam wtyczkę - Władysława Dyczewskiego "Kasępkę". Informował mnie o me-  
jących <sup>m</sup> nastąpić aresztowaniach. To właśnie on ostrzegł mnie o me-  
jących ~~m~~ nastąpić aresztowani ~~u~~ mnie i Kleszczewskiego Mieczysława "Wyrwy", mego szwagra, w sierpniu 1946 r. To ja wciągnąłem go do organizacji. <sup>do AK</sup> I tylko do niego przyznałem się na śledztwie. Bo byli też i inni. Np. Polkowski, szwagier Przekopa - najpierw był w AK, potem w niemieckim obozie. Wyzwolili go Anglicy czy Amerykanie. Wrócił i jako skowca wciągnąłem go do organizacji. Ale ten niebawem zaczął zalecać się do siostry ~~z~~ Przekopa, a wcześniej dostał ode mnie, na moją nieszczęście, pistolet, co zemściło się na mnie.

W  
Dyczeski z kolei to przedwojenny złodziejaszek. Dostał 15 lat za współpracę z nami. Gdy wyszedł na wolność przypuszczalnie załatwili go ubowcy. Miła <sup>24</sup>wypadek gdy jechał na rowerze przez most. Ale jeśli był to zwykły wypadek, to dlaczego miał strzaskaną czaszkę i jak to możliwe, że od tyłu. Szefem UB w Suwałkach był kpt. Szyszka a sowieckim doradcą - mjr Panefilow.

Gdy więc dowiedziałem się od "Kanapki", że mam być aresztowany, ustaliłem z "Wyrwą", że pójdziemy do lasu. Miałem do załatwienia przedtem tylko małą sprawę. Dostałem właśnie od siostry ciotecznej dwa funty <sup>(brytyjskie)</sup>. Pojechałem więc do Suwałk żeby je wymienić na złotówki i zrobić jakies zakupy. Jeszcze miałem przekazać coś do "Wichra". Miał skrytkę w olszynie a w niej maszynę do pisania. Kilka razy nawet coś na niej <sup>"Mura"</sup> pisałem. Gdy byłem u niego ostatni raz, to zastałem ~~xxxxxxx~~. Po załatwieniu sprawy wracałem do domu rowerem, ale nie główną drogą, ale boczną, przez las. Już robiła się szarówka. Poczulem najpierw zapach benzyny. Z prawej strony usłyszałem szczęk metalu. Przyjrzałem się lepiej. Patrzę, a w rowie leży cały szereg wojska. Rzuciłem się więc na drugą stronę drogi, ale tu również było wojsko. Z przodu wyskoczył zaraz Omilianowicz i krzyknął: "Stać". Zaświecił latarką. Dwóch z automatami zaraz doskoczyło i poprowadzili mnie pieszo na UB przy ul. Kościuszkix1 no i posadzili mnie do celi.

Na początku przesłuchania odbywały się dosyć spokojnie. "Należycie do bandy. Kogo znacie?" - itp. Oczywiście były wyzwiska, ale bez bicia. A ja do niczego nie przyznawałem się. Któregoś razu wziął mnie Omilianowicz. "Słuchajcie, daję wam możliwość wyjścia stąd, bo inaczej zgnijecie w więzieniu. To ostatnia wasza szansa. Siadajcie i piszcie co wam

podyktuję. Proszę, poczęstujcie się papierosem". Na biurku leżała już kartka papieru, stał kałamarz i pióro. On dyktuje, a ja piszę: "Ja niżej podpisany Antoni Gwiazdowski dobrowolnie zobowiązuję się współ..." napisałem dotąd, a on dalej mówi: "...pracować z organami bezpieczeństwa". "Nie, nie napiszę tego" - "Słuchajcie, daję wam 5 min. do namysłu. Nie chcemy, żebyście do nas przychodzili, wystarczy, że napiszecie do nas o tym, co ktoś powiedział, np. przeciwko rządowi, może gdzieś jakaś bron jest ukryta. Chodzi nam wyłącznie o ludzi z waszego środowiska. Możemy się spotykać w jakimś prywatnym mieszkaniu, czy w lesie. Wyznamy sobie stałe godziny spotkań. Nikt nie będzie was widział, a w zależności od ważności materiału będziemy dobrze płacić". I znowu częstuje mnie papierosem, a ja już niemal pijany byłem po pierwszym. Tyle czasu przecież nie paliłem. Minęło 5 minut. "No co namyśliliście się?" - spytał Omilianowicz. "Nie, nie będę z wami współpracował" - odpowiedziałem. "No, namyślcie się dobrze. Daję wam jeszcze 2 minuty". Potem była jeszcze jedna minuta. "No ~~xi~~ co?". - "Nie, nie zgadzam się". Słuchajcie, inaczej zgnijecie tu. A tak, to was zaraz wypuścimy do domu. Gdzieś w las was zawieziemy i tam wypuścimy, żeby nie było to podejrzane". Itak się kręcił, chodził po pokoju cały czas. Ja wykorzystując jego nieuwagę, zgranałem z popielniczki, która stała na stole, garść petów do kieszeni.

Przyszedł szef i spytał: "Nu kak?, Nic. To brać skórwysy-ns" i wzięli mnie za kark i poprowadzili do celi. Ale o 23-ej wzięli mnie znowu na górę. W pokoju było dosyć tłoczno od ubeków. Był Szysz, Przekop, Waraksa i inni. "No dosyć kręcenia - mówi Szysz - i wylicza mi różne rzeczy do których mam się przyznąć. "Do niczego nie przyznaję się". "Nie, no to dawać tego" i do

Polkowski? Jest  
pokoju wchodzi Olchowski, szwagier Przekopa. Boso i tylko  
w koszuli. "No mówcie"- ponagla Przekop. I ten zaczyna:  
"Antek, co ty kręcisz, przecież pistolet od ciebie dostałem,  
a Kleszczewski ma drugi od ciebie. Miałeś jeszcze w gałgany  
pozawijaną amunicję, którą ukryłeś". Próbowałem się jeszcze  
bronić. "Co ty, szalony, człowieku. Co ci stało się Stasiak.  
Co ty bredzisz?. No i dalej nie przyznaję się. Kręcę. A ubecy:  
"No ty skórwysynu, nadal nie przyznajesz się. Ja jeszcze  
w życiu żadnego człowieka nie uderzył" i nagle Szysz buch  
mnie w twarz, po nim Przekop, porwał jeszcze Waraksę, rzu-  
cili się na mnie pozostali. Było ich razem z dziesięciu. Pod  
ich ciosami upadłem na ziemię. Posypały się nowe razy. Któryś  
wyrwał z krzesła nogę i zaczął mnie ją okładać. Trwało to  
z pół godziny. Lewą stronę twarzy miałem kompletnie zmas-  
krowaną. Pomyślałem, że nie ma tu już co wykręcać się, bo  
jeszcze mnie gdzie zabiją, i przyznałem się.

Sądził mnie sędzia Popowski, obrońca był z urzędu. Nie wie-  
domo co to był za obrońca. Ja powiedziałem tylko kilka słów.  
Dostałem 9 lat. Po wyroku przewieźli mnie do Rawicza. Tu  
miałem jeszcze jedno śledztwo. Przesłuchiwali mnie z WUBP  
w Białymstoku. Chcieli mi poprzyczepiać różne sprawy. Mówi-  
li: "Mamy na szachownicy wszystko ustawione, brakuje nam tyl-  
ko jednego pionka. Przyznajcie się. Powiedzcie kto to. Cho-  
dziło im miin. o jakiegoś Burzyńskiego. Zarzucali mi też, że  
byłem płatnikiem obwodu, że otrzymywałem dolary ze zrzutów.  
"Jeśli sami nie macie broni, to powiedzcie kto ją ma". I ca-  
ły czas: ty bandyto, ty skórwysynu. I kuksańce pod żebro.  
Tak, że raczej spokojnie to się odbywało.

W Rawiczu pracowałem w stolarni. Nie było tu najgorzej.  
Pod tym względem to o wiele gorzej było w Białymstoku. Tam

Tem cały czas było jakieś kopanie, szturchanie przez strażników, kławiszy. W ten dzień, gdy mnie przywieźli, to nie dostałem żadnych naczyń. Na śniadanie ktoś dał mi małą puszkę po konserwie, to kławisz nalał mi do niej wrzątku, rozlewając go oczywiście po rękach, jakby specjalnie. Tak samo było na ~~kolację~~ na obiad. Dostałem tyle, co zmieściło mi się do tej małej puszki. Na kolację dostałem od kogoś jeszcze drugą puszkę, a potem koledzy z tych dwóch naczyń zrobili jedno. Nawet nie przeciekała, a przecież nie mieli do dyspozycji żadnych narzędzi. ~~Było nas na 40-tych~~. Potem dostałem od kogoś złamaną łyżkę.

W celi było nas ok. 40-tu. ~~20-tu~~ spało po jednej stronie i 20-tu po drugiej. Wszyscy spali na siennikach na podłodze. Kilku ostatnich, którzy spali już pod oknem, leżeli na gołej posadzce. Nie wystarczyło już dla nich sienników. Wszyscy leżeli tak ściśnięci, że przewracanie się na drugi bok odbywało się niemal na komendę. Jak się wstało do kibla w nocy, to później już trudno było odnaleźć swoje miejsce. Wszyscy nowi zajmowali miejsce pod oknem, a ci co byli najdłużej spali pod drzwiami. I tak przesuwaliśmy się ciągle powoli o jedno lub kilka miejsc w kierunku drzwi, aż w końcu poczułem, że już jedną łopatką znajduję się na sienniku, a drugim bokiem tkwię jeszcze na posadzce.

Było zimno. Ci co byli dłużej, to mieli już jakieś ciuchy, które dostali w paczkach. Ja byłem jeszcze ~~ku~~ krótko. Nikt nie wiedział, ~~gdzie~~ jestem, stąd też nie miałem nic ciepłego. Aresztowano mnie przecież w sierpniu. Z jedzeniem też było źle. Byłem ciągle głodny. Jeśli ktoś np. dostał gęstą zupę i zjadł same gęste, to to co zostało, same rzadkie ja chętnie zjadłem.

Potem trafiłem do Rawicza. Ale tu już nie było tak ciężko. Było znacznie lepiej. Być może cały wyrok odsiedziałbym w Rawiczu, ale po jakimś czasie w lutym 1951 r. przewieziono mnie do Białegostoku na ponowne śledztwo. Tu byłem krótko. Stamtąd trafiłem do więzienia w Suwałkach.

Tu poszukiwali stolarzy do zrobienia okien w więzieniu. Zgłosiłem się więc jako stolarz, gdyż pracowałem w tym zawodzie w Rawiczu. Razem z niejakim Kuflem zaprowadzono nas do prowizorycznej stolarni i od tej chwili robiłem te okna. Na wolność wyszedłem w czerwcu 1951 r. Zameldowałem się na posterunku w Płóćcznie. Nikt więcej się mnie nie czepiał.

*Spisał Jerzy Kutok.*